Nr. 34. We Lwowie dnia 20. sierpnia 1894. Rok II.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“
pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z cyklu »Polonia irredenta«.

PODZIEMIA.

V.

Ludzkie kretowisko.

Stajemy w podziemiach. Z lampkami dokoła,
Jak gnomy, szarzeją górnicy.
Chodnikiem sznur wózków przelata, grzmią koła,
Tłum sunie znędzniały, oblewa znój czoła,
Duch mroczno przygasa w źrenicy.

Ty tłumie! Zagnany w krainę ciemności,
Czy pytasz o słońce, o nieba?
Czy pragniesz ulecieć w krainę światłości?
Czy kiedy żar myśli w twem oku zagości?
Czyś żądał ty czegoś prócz chleba?! —

Ty tłumie skazańców! Nie w puszczy polarnej,
Nie w puszczy ty giniesz lodowej!
Śród ziemi ojczystej twem niebem mrok czarny,
W podziemiach ojczystych wre żywot twój marny
I skała zdeptuje twe głowy! —

Twa dusza to także podziemia, gdzie w mroki
Och, promień nie padnie wesoły!...
Czyś poznał swych wieszczów?... Pójdź w zaświat głęboki,
Posłuchaj, co wróżą podziemne opoki,
Co mówią swym grzmotem żywioły! —

VI.

Rzeka podziemna.

Czy słyszysz tam w dali huk rzeki podziemnej?
Patrz, ona w pieczarach ujęta.
Jak lwica przebiega podziemia świat ciemny,
Łeb wznosi i poryk wydaje tajemny,
Chcąc przegryść kamienne swe pęta.

Stalowe pijawki u wodnej gardzieli
Ssą żywioł, pulsują wentyle,
Ssą wody nieznanej, ukrytej topieli,
A wody wciąż rosną w swej skalnej gardzieli,
Ach, skąd ich tam bierze się tyle!

Pulsują wentyle i słychać syk pary,
Wre ciągły bój z wodnym żywiołem.
Przy blasku latarki patrz w głębię pieczary,
Czy widzisz, jak gryzie skaliste filary,
Jak krąży, jak czai się kołem?

Jak lwica pierś wzdyma: ryknęła, szaleje,
Wre, bryzga pianami białemi.
Za chwilę, swobodna, chodniki zaleje,
Stuletnie krużganki, bogactwa, nadzieje
I szybem wybuchnie z podziemi!

Zatopi świat fabryk ta lwica, ta rzeka,
Rozpędzi tłum kupców dokoła
I rykiem ogłosi po polach zdaleka
Swobodę żywiołów z niewoli człowieka,
Co jarzmił posępne ich czoła!

Patrz tłumie! Tam strzeże śród pieczar pomroki
Dostępu do czarnych djamentów!
O biada zaborcom! Jej szumne potoki
Stargają zapory, przegryzą opoki —
Rozumiesz te ryki odmętów?!...

Przypiski.

VI. Rzeka podziemna.

Woda, jak wróg, stąpa za człowiekiem w podziemiach. Maszyny, nazwane przez nas stalowemi pijawkami, dobywają wodę pompami z głębokości 130—300 metrów. Każda kopalnia wyrzuca słup wody, równający się 8—20 metrom kubicznym na minutę. Nieraz wskutek kilkudziesięciorublowej oszczędności woda zalewała kopalnie, których osuszenie następnie kosztowało miljon.

Wydawnictwo materjałów do historji powstania 1863–1864.

Tom IV. Zeszyty I., II. — Lwów, 1894. (Ciąg dalszy.)

Jeśli jednak białych za to pochwalić należy, że przyłączyli się do ogólnego ruchu, ich gospodarka była tego rodzaju, ich zasady były tak dla naszej sprawy kompromitujące, że ich kierownictwo odrazu zachwiało całą potęgę powstania. Można się o tem przekonać z samych pamiętników przezemnie omówionych. Milowicz pisze: (Zeszyt I. str. 86). »Przyjęto ów zgubny system ciągłych zbrojnych manifestacyj« — pospolicie zwanych uciekinierstwem — „które kosztowały potoki krwi i wyniszczyły kraj z ludzi i pieniędzy, a którego rezultat był najzgubniejszy, gdyż zdemoralizował on w końcu żołnierza i mieszkańców kraju“. Boć szło o to, by się doczekać obiecanej interwencji (naszych zaborców!!!) nie przybiegając do ludowego, chłopskiego powstania, nie wywołując widma europejskiej rewolucji. Pierwszym krokiem na tej drodze była dyktatura Marjana Langiewicza, którą autor »Traugutta« zalicza, zupełnie po jezuicku, do czerwonych zamachów (Zesz. II str. 17), chociaż wie doskonale, że ją urządził p. Leon Chrzanowski z tymi, którzy za kilka lat mieli się stać hufem Stańczyka, a których jak i teraz, główną kwaterą był stary gród podwawelski. Owa nieszczęśliwa parodja wojny regularnej, która się skończyła haniebną ucieczką dyktatora za kordon, 19. marca 1863 r. i zaaresztowaniem go przez tych właśnie, od których się spodziewano zbawiennej interwencji, zwichnęła odrazu plan wojny i wobec całego świata spaczyła cały charakter powstania. Warto się nad tem zastanowić.

Podług planu Padlewskiego główny napór powstania był wymierzony na północny wschód, na Płockie, Łomżyńskie i Podlasie, aż do Litwy; przerywano takim sposobem komunikację Moskali z Petersburgiem jedyną istniejącą wówczas koleją, Warszawsko-petersburską; miano zużytkować najgłówniejsze siły organizacji, Warszawiaków, Kurpiów i Podlasiaków, dawano Litwie łatwość do uzbrojenia się i natychmiastowego powstania, tem bardziej, że Białostocki obwód był dawno przezemnie i Wróblewskiego zorganizowany, pomimo oporu Wileńskiego komitetu. Główne siły powstańcze były takim sposobem w sąsiedztwie Modlina i Dęblina, jedynych wówczas twierdz w Królestwie, bardzo źle opatrzonych i osadzonych, które można było zatem opanować przy pomocy oficerskiego moskiewskiego spisku. Koniecznym przeto warunkiem takiego planu było ścisłe wypełnienie programu Komitetu Centralnego, jakem go wyżej określił, a mianowicie punktów 3, 4 i 5 powstania masowego, ludowego, ścisłego sojuszu z rosyjską rewolucją, poruszenia litewskiej, właściwie białoruskiej i małoruskiej ludności.

Ów plan wypełniał się z początku dość pomyślnie i tam odbyła się główna, jedyna poważna co do możliwych skutków, walka 1863 roku, o której jednak prawie nic nie piszą, bo główni uczestnicy legli na polu chwały, a nikt z nich się nie bawił, ani w dyktatury, ani w emigracyjne tytuły. Opanowano kolej między Bugiem a Narwią, do Łap, Padlewski uderzył na Płock 22. stycznia, Rogiński zajął Białę 25-go, podlascy Rusini powstali masami (pamiętniki Deskura, 49–60), nastąpiły bitwy pod Węgrowem, 4 lutego, pod Siemiatyczami i walczono zawzięcie na linji od Warszawy do Białegostoku przez cały luty i marzec (Myszyniec 25. lutego, Czyżew, Zaręby, Mężenin itd.); komisarz płocki, Chądzyński, wystosował odezwę, wzywającą do pospolitego ruszenia (Berg III. 74). — Jednem słowem ci, którzy byli w polu, zrobili co mogli i co byli powinni i doszliby do innych zupełnie rezultatów, gdyby — gdyby nie ów »Rząd Narodowy«, którego autor »Traugutta« tak chwali i który się wówczas zrodził z potwornego związku intrygantów w rodzaju Awejdy, i zacofańców, w rodzaju Ruprechta.

Oprócz owego Rządu, pierwszy cios zadał działaniom na wschodzie Wileński komitet. Nie chciał on żadnego powstania ludowego i stanowczo odmówił poparcia »aż się Litwa przygotuje«. Takim sposobem Siemiatycki bój, już w Grodzieńskiem, żadnego ruchu nie wywołał, wyprawa Rogińskiego na Polesie przeleciała bez śladu, a mieszkający o parę mil od pola walki pułkownik Romuald Traugut przypatrywał się najspokojniej naszym przegranym, chociaż mógł sam, korzystając ze swojego ogromnego osobistego wpływu na chłopów, podjąć cały powiat w imię „ziemi i wolności“. (Zesz. II. str. 38). „Pierwsze dwa miesiące (właściwie trzy), pisze jego panegirysta, ze swej siedziby przypatruje się i przysłuchuje się na pozór obojętnie“... wtedy właśnie, kiedy wszystko od pierwszego naporu i od doświadczonego oficera zależało, kiedy musieli prowadzić powstańców urzędnicy, jak Frycze, studenci, jak Rogiński, obywatele wiejscy, jak Deskur, leśniczy, jak Wróblewski. Później dopiero, kiedy litewska szlachta raczyła powstać, Traugutt wystąpił 8 maja z garstką inteligencji, oficjalistów (tamże str. 41—47) i został pobity na głowę, nie przez Moskali, ale przez wołyńskich chłopów i jakiegoś tam asesora (str. 48) — przez tych właśnie, których tysiące, dwa miesiące wcześniej, mógł i powinien był sam do boju poprowadzić. Ale szlachecka zasada pozostała nietkniętą i jego bjograf pociesza jego cienie na tamtym świecie tem, że »od anarchji, któraby mogła podnieść swój sztandar sromotny« (Str. 21. — tu się nie mówi, jakby można sądzić,

o Targowicy) »praca i ofiarność Traugutta ocaliły nas«...

Langiewicz miał tylko w Świętokrzyskich górach zgromadzać większe siły, organizować je przy pomocy Galicji i prowadzić potem na Warszawę, korzystając z tego, że główne moskiewskie siły byłyby zajęte między Wisłą, Bugiem i Narwią. Pierwszy Jeziorański odstąpił od planu. Po napadzie na Rawę (26 stycznia), gdzie zginął Godlewski, zamiast opanowania koleji wiedeńskiej pod Skierniewicami i Łowiczem, Jeziorański drapnął za Pilicę i połączył całe siły województwa Mazowieckiego z Langiewiczem. On to namówił byłego profesora szkoły kuneańskiej do przyjęcia fałszerstwa Grabowskiego (Berg III. 53) z obawy przed Mierosławskim i do odstąpienia ku galicyjskiej granicy. Sama zaś odezwa pseudo dyktatora skomponowana w Krakowie (Berg III. 21—27), mówi tylko nawiasem o uwłaszczeniu chłopów, usprawiedliwia się z przymusowego powstania, kiedy nota bene Langiewicz już kilka miesięcy przed wybuchem przyjął dowództwo w Krakowskiem, jednem słowem jest czysto szlacheckim, reakcyjnym manifestem, za którym miały, niestety, nastąpić inne z tej samej kuź i i w tym samym duchu pisane. Z obozu w Goszczy Europa dowiedziała się, że występujemy pod chorągwią Matki Boskiej Częstochowskiej, że bijemy się jedynie dla katolicyzmu, że nie myślimy wcale o europejskiej rewolucji — anarchji chłopskiej, jak mówi autor »Traugutta«; tysiące rycin pokazały światu nowych Barskich konfederatów, których czekał ten sam opłakany koniec, co dawnych sodalisów księcia Panie kochanku. I zdarzyła się rzecz potworna; ci którzy powstali dla oswobodzenia ludzkości musieli ginąć pod dawnemi, zabójczemi dla naszego narodu hasłami, a pomiędzy tymi męczennikami najtragiczniejszą postacią jest Zygmunt Sierakowski. Przyjaciel Hercena, Dobrolubowa i Czernyszewskiego, założyciel komitetu petersburskiego *Ziemli i Woli*, podburzyciel całej Rosji musiał stanąć po niewczasie na czele żmujdzkich chłopów, bijących się nie za Ojczyznę, nie za wolność, ale za obcą ich przewódzcy wiarę i stać się wkrótce męczeńską ofiarą owego pojedynku dwóch Matek Boskich, Częstochowskiej i Kazańskiej, który zalał i zalewa krwią całą Rzeczpospolitą od czasów Zygmunta III. i Chmielnickiego, który doprowadził nas do sromotnego upadku, a z którego korzystają jedynie ci, którzy ani w Częstochowską, ani w Kazańską nie wierzą, niemieccy kulturtregierzy, berlińscy lutrzy.

Bronisław Szwarce.



Kosmologja i Socjologja.

Przez

Bolesława Limanowskiego.

(Dokończenie).



Wiadomości astronomiczne były podstawowemi — rzec można — w życiu ludzkiem. Spostrzeżenia nad biegiem ciał niebieskich służyły ludziom do kierowania się po powierzchni ziemskiej i do wymiaru czasu. Wyraz francuski *s'orienter* (orjentować się), pochodzący od wyrazu *orient* (punkt niebieski wschodu słońca), jeszcze dzisiaj świadczy, że bieg dzienny naszej gwiazdy służył człowiekowi jako wskazówka najważniejsza w jego kierowaniu się. Wiemy, jak ważną była i jest dotąd znajomość gwiazd dla oznaczenia miejsca, zwłaszcza w nocy i na morzu, w wędrówkach i w żegludze. Szczególnie taką gwiazdą przewodnią była zawsze gwiazda żeglarska, gwiazda biegunowa.

Bieg dzienny słońca dał początek wymiarowi czasu. Pierwsze zegary były słoneczne: kompasy. Powrót księżyca do tej samej fazy dawał nową podstawę do mierzenia czasu. Obserwacja dokładna gwiazd, wskazała na roczny obieg słońca, co pozyskało ważne znaczenie przy regulowaniu robót rolniczych. Z tych wszystkich spostrzeżeń powstał kalendarz, ten codzienny regulator naszego życia. Wciąż się doskonaląc, coraz dokładniej czas wymierzał. Już Egipcjanie ustalili rok na 360 dni, ale po dokładniejszych obliczeniach następnie około 1872 r. przed Chr. poprawili ten rok, dodając jeszcze 5 dni. Kalendarz ten, przyjęty przez Rzymian od czasu decemwiratu, trwał bez zmiany, aż do panowania Juljusza Cezara, kiedy go znowu poprawiono. Ostatnia naprawa kalendarza nastąpiła z rozkazu papieża Grzegorza XIII. w 1582 r., a do Polski została wprowadzona w 1586 r.

Historja nieboznawstwa, która święciła największe tryumfy umysłu ludzkiego, przekonywa, że błędne teorje mogą długo panować, i że prawda nie łatwo zwycięża. System Klaudjusza Ptolomeusza (90—170 r.), niezaprzeczenie wielkiego astronoma, pomimo że spostrzegano, iż nie odpowiada rzeczywistości, miał powagę przez 13 wieków. Chcąc uratować ten system, poprawiano go coraz nowemi cyklami i epicyklami i wprowadzono taką zawiłość w budowie świata, że Alfons X., król kastylski, któremu starano się ją objaśnić, bardzo trafnie zauważył, że gdyby go wezwano przy tworzeniu świata, to poradziłby większą prostotę w jego układzie. Henryk George nie bez słuszności porównywa prawowierną ekonomję polityczną ze sztucznemi jej objaśnieniami do astronomji przedkopernikowskiej.

Obaleniem dogmatyki Ptolomeusza, Kopernik, mąż wolnego ducha — jak go Kepler na-

zywał — uwolnił myśl ludzką z długowiekowego onej uwięzienia, i z początkiem rozwoju kosmologji nowoczesnej rozpoczyna się także nowy polot umysłowy w całej dziedzinie badań naukowych. Pewność, jaką daje rozum, okazała się większą od pewności, jaką dają zmysły. Dzisiaj tak dla wszystkich jasna i oczywista prawda, że ziemia dokonuje ruchu wirowego dokoła słońca, w czasach Kopernika uważała się nie tylko przez ogół publiczności, ale przez uczonych astronomów nawet za niedorzeczność i wzbudzała śmiech. »Zwykle — powiada Kopernik — zgadzają się uczeni, że ziemia spoczywa w środku świata, i uważają za rzecz śmieszną, gdy kto twierdzi przeciwnie«.

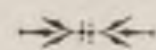
Jeżeli historja kosmologji ostrzega badacza, ażeby zanadto nie ufał zmysłowym spostrzeżeniom i poddawał je poprzednio krytycznemu ocenieniu, zanim uczyni je podstawą swego wnioskowania, to również nie pochwala i tego bezwzględnego krytycyzmu, który dla pewnego zjawiska nie znajdując wyjaśnienia w przyjętej teorji, posuwa się aż do zaprzeczenia samych faktów. Pouczający w tym względzie przykład, przedstawia sprawa meteorów. Kiedy w 1790 r. w gminie Juillac w Gaskonji rzęsiście spadały kamienie, i kiedy 300 świadków w spisanym protokole potwierdziło ten fakt, uczeni paryskiej akademji naśmiewali się z łatwowierności zabobonnego gminu. Nie miało to dla nich żadnego znaczenia, że podanie o spadających kamieniach było bardzo upowszechnione pomiędzy ludem, i że o tem pisali także Chińczycy, Indjanie, Grecy, Rzymianie. Dopiero kiedy spadanie kamieni w 1803 r. pod Aigle w departamencie Orne zrządziło znaczne szkody i nabrało wielkiego rozgłosu, akademja paryska wysłała Biot'a, ażeby ten zbadał, ile prawdy było w tej całej sprawie. Biot przekonał się na miejscu, że nie uczeni, ale lud prosty miał słuszność, mówiąc o spadających z nieba kamieniach.

Streśćmy więc ostatecznie naukowe korzyści kosmologji dla socjologa. Utrwala i wzmacnia ona przyrodniczy pogląd na ścisłą łączność wszechzjawisk w świecie, nie wyłączając i społecznych; pomaga badaczowi ustrzedz się od przypuszczeń, których znajomość praw, wszechświatem kierujących, czynić nie pozwala; daje wątek do wytłumaczenia pewnych objawów psychicznych w życiu społecznem; wreszcie, dając umysłowi jasne metodyczne wskazówki, uzbraja go do dalszych badań w dziedzinie najbardziej skomplikowanych i zawikłanych zjawisk.



Obrazki warszawskie.

»Servi siam, si, ma servi ognor frementi!«
Alfieri.



I ten pójdzie...

Na stoliku pod oknem pali się lampka żółtawem, przyćmionem światłem. Przy stoliku chłopak dwunastoletni, głowę ukrywszy w rękach, wykuwa lekcję na dzień jutrzejszy. Sennym głosem, z uporem manjaka, powtarza wciąż jedną i tę samą konjugację łacińską, silniej akcentując na trzeciej osobie liczby mnogiej: *Moneam, moneas, moneat.*

Kiwa się w takt, przestaje na chwilę i znowu: *Moneamus, moneatis, moneant.* Nie, nie idzie mu dziś nauka. Godzinę przeszło siedzi przy stoliku i nic, nic prawie nie umie. Przy nim porozrzucane kajety i książki... jeszcze ćwiczenie rosyjskie, jeszcze gramatyka rosyjska, jeszcze zadanie arytmetyczne... Boże! ileż on ma jeszcze do roboty! A ta łacina przeklęta nie chce i nie chce iść mu do głowy. *Monerem, moneres, moneret, moneremus, moneretis, monerent.* Nie! Chłopaka myśl, czemś innem zaprzątnięta, uleciała od książki. Ot, urywek przyciszonej rozmowy między bratem starszym a jednym z jego przyjaciół, urywek, usłyszany przypadkiem, przewrócił w głowie dzieciakowi.

— Cóż Karol? — pytał brat.

— Skazany — odpowiedział tamten.

— No i cóż?

— Dwa lata Szlysselburga. Z jego zdrowiem.. rozumiesz?... on stamtąd nie wyjdzie.

— A matka?

Machnął ręką.

— Matka chodziła prosić za nim. Rozumie się, napróżno. I z matką będzie koniec. Nie doczeka wywiezienia.

Ta rozmowa zamieniła się w szept niedosłyszalny, potem znów do uszu chłopca dobiegły słowa:

— At, warjat! Stawiał im się. Zawzięli się i kwita. Szalone rzeczy wygadywał, przyznawał się do wszystkiego, urągał i plwał. Za to w podziemia!

Tyle usłyszał chłopiec i dla tego nie mógł dzisiaj uczyć się gramatyki łacińskiej. *Moneam, moneas, moneat...* Loch w Szlysselburgu ciemny, wilgotny... dźwięk i światło nie dochodzą w podziemia. W ciemnicy błyszczą dwa karbunkuły... to oczy więźnia. Wpatrzyły się w chłopca i mówią mu tak dziwne, tak straszne rzeczy... Dreszcz go przeszedł od stóp do głowy, przetarł czoło, i twarz i napowrót zabrał się do gramatyki. Już teraz głośno, jak najgłośniej powtarza zadaną lekcję. Chciałby nie słyszeć tych słów, co nieproszone i niewołane dźwięczą mu wciąż w uszach: — »A matka? — Nie doczeka wywiezienia«.

Chłopiec podparł twarz rękami, zapatrzył się w okno i łzy, ciche łzy płyną mu po twarzy. Widzi matkę, swoją matkę, swoją dobrą, kochaną mateczkę taką bladą i straszną, jakby za chwilę umrzeć miała. Dopiero co oderwali go od jej piersi łkającej i uprowadzili, a ona została.... Jeszcze ją widzi, jeszcze.... pchają go naprzód coraz dalej i dalej.... ona ginie mu z oczu.... już.... już....

— Mamo! — zawołał głośno.

W tej chwili ocknął się, i jakby zadziwiony, otarł twarz, mokrą od łez. Czas pewien siedział nieruchomy, odurzony jakiś i senny. Potem zmarszczka zarysowała mu się między brwiami. »Warjat, stawiał im się, mówił prawdę, urągał i plwał«. I dziecko widzi więźnia, z głową hardo podniesioną do góry. Za stołem kilka mundurów moskiewskich, a on przed nimi z płomieniem ponurym w oczach, pełen nienawiści i wzgardy, nieustraszony, spokojny, wielki... Chłopcu oczy zajaśniały, na bladą twarzyczkę wystąpił ciemny rumieniec. Do tej postaci hardej, wyniosłej, wyrywa się dusza dziecka. Wstał, i gorączkowo zaczął chodzić po pokoju. Potem jakby wyczerpany wzruszeniem, usiadł znowu przy swoim stoliku i smutno pochylił głowę. Myśl dziecka leci w dal... po śnieżnych gościńcach bez końca... gubi się w pustych zamglonych szlakach.... pod biegun het! Oczy mu się mróżą od białości śniegów... senność go ogarnia.. W tem drgnął. Co za obraz dziwny?! Słup drewniany z ramieniem u końca... Chłopiec szeroko otworzył oczy pełne zgrozy... on tego drzewa nigdy nie widział, ale on wie... to szubienica...

Dziecinna twarzyczka powlokła się straszną bladością, usta drżeć zaczęły nerwowo, ale w oczach nie wygasło światło. O nie! Ręce wyciągnął przed siebie, i jak lunatyk wpatrywał się w słup ofiarny. Co myślał? Jaka siła tajemna wiązała duszyczkę jego do tego widoku? Czy on na narzędzie katowskie patrzy, jak na przyszłą kochankę, której uścisk okropny, śmiertelny, wyssie młode życie jego?

I rozwiał się w umyśle dziecka ten obraz ostatni, i z twarzyczki znikł mu wyraz przerażenia.

Teraz przed oczami stanęły mu pola takie dalekie, dalekie, na nich sioło, za siołem łany, sinemi lasami i wstęgami rzek błękitnych poprzegradzane. A nad tą wielką ziemią, kołyszącą się od fal zbożowych, wisiały białe mgły, złotemi promieniami słońca przetkane. I chłopcu zrobiło się dobrze i cicho i błogo jak wtedy, gdy niemowlęciem przytulał się do piersi matczynej... i poczuł wielką miłość do tych pól bez końca, do czarnych wstęg leśnych i do ciszy ziemi ojczystej... Coraz mu smętniej... coraz rzewniej i milej, mgły go otulają białe... wierzby siół szepcą mu pieśń cichą i po zagrodach tych białych duch jego leci rozkochany, mdlejący.... Oczy mu się przymknęły... zasnął...

Śpij, dziecię polskie! Śpij, póki dzień twój nie przyjdzie. Tyś już oczami duszy zawieje sybirskie, lochy więzienne i drzewa szubienic widziało. Tyś już rozkochało się w męki obrazach. Pójdziesz i ty za innymi i będzie cię żołdak zbydlęcony znieważał i będzie cię — pieszczoto matki — katowała ręka oprawcy, a szyję twoją białą ściśnie powróz złowrogi, ohydny!

Pójdziesz i ty na śmierć haniebną — aniele mały — pójdziesz, pójdziesz i ty!....

Wanda.



W sprawie nauki o kraju rodzinnym.

(Ciąg dalszy.)

W ogóle cały ten ruch reformacyjny za zasadę ma najwidoczniej: zbliżanie nauczania do życia. Tak jest: — celem bowiem wychowania jest uzdolnienie do życia.

Ponieważ jednak życie owo ma płynąć w społeczeństwie, więc prócz znajomości otoczenia przyrodniczego, potrzebną jest jeszcze znajomość otoczenia ludzkiego, społecznego. Istotnie widzimy, że współczesna reforma pedagogiczna nie tylko realizuje nauczanie, lecz również humanizuje je, uspołecznia. Odbywa się to jednak nie zapomocą wtłaczania w pamięć dziecka moralnych ogólników, lecz zapomocą udzielania mu wiadomości o życiu i stosunkach własnego społeczeństwa, wskazywania mu przyszłych obowiązków obywatelskich, zaznajamiania go z faktami własnych dziejów, z obyczajami, życiem codziennem i odświętnem społeczności ojczystej.

W szkołach niemieckich powstaje nauka — Nauka o kraju rodzinnym. Taka np. lipska szkoła miejska naucza w II. roku nauczania o: miejscu zamieszkań, rodzinnej wsi, mieście, okolicach Lipska, podaniach i historji, o kraju rodzinnym i jego mieszkańcach, o ich zajęciach i t. d. To samo z rozmaitemi zmianami w innych szkołach.

We Francji powstają szeregi specjalnych wydawnictw, odtwarzających w terminach dla dzieci zrozumiałych naukę o instytucjach krajowych, o prawach i obowiązkach obywatela kraju. Najwybitniejsze siły umysłowe przyjmują w tem udział. Tak np. Paul Bert napisał »Katechizm obywatelski«, M. Block opisuje administracyjne urządzenie Francji, Guichard informacje o kodeksie prawnym, M. Lecomte o głosowaniu — szereg prac tego rodzaju jest długi. Nie mówię już o licznych wydawnictwach w rodzaju Erckman-Chatrian'a *Avant 89*, lub J. Macé *la France avant les Francs.* Znakomici uczeni, jak np. Fouillée poruszają niejednokrotnie sprawę roz-

woju uczuć obywatelskich w dziecku. W Szwajcarji znowu minimum wiadomości, jakich wymaga państwo od obywatela, zawiera przedewszystkiem wszelkie informacje o kraju rodzinnym; w ten sposób książeczka żołnierska szwajcara, zawierająca konspekt tych wiadomości, mogłaby z powodzeniem służyć za wzór przy kształceniu dzieci naszej inteligencji....

Zupełnie te same zjawiska powtarzają się we Włoszech, Belgji, Anglji i t. d.

Tak postępują społeczeństwa, używające w pełni swobody i samodzielności politycznej, którym nie grozi żaden najazd, lecz które dojrzały do zrozumienia tego, co leżeć powinno w podstawie wszelkiego wychowania. Z wszechstronnej analizy psychicznych właściwości dziecka z jednej strony i celów społecznych nauczania z drugiej strony — wyrozumiały one, że wychowanie opierać się powinno na znajomości zjawisk życiowych w przyrodzie i społeczeństwie. W ten sposób nauczanie elementarne rozpoczyna od zaznajomienia się z otoczeniem najbliższem (nauka o rzeczach), dalej następuje otoczenie społeczne (nauka o kraju rodzinnym) i wreszcie umysł dziecka zdolnym jest przejść do właściwych przedmiotów naukowych — przyrodniczych i humanitarnych.

Więc i ta tendencja Zachodu jaknajbardziej odpowiada naszym własnym potrzebom. Ażeby zaś skutecznie bronić dzieci swe przed wpływem najazdu — mamy tylko iść za nią na własnym gruncie.

III.

Nauka o kraju rodzinnym w normalnym kursie szkoły przychodzi w roku 3. i 4. kształcenia. Poprzedza ją elementarna znajomość języka ojczystego oraz nauka o rzeczach t. j. metodyczne obznajomienie dziecka z otoczeniem, które przedstawia mu się w postaci zbiorów naturalnych, jak pokój dziecinny, Dom, Podwórze, Las, Łąki i Pola, Woda i t. d. Nie możemy się tu wdawać w szczegółowy rozbiór tej pierwszej nauki przygotowawczej, której zadaniem jest przygotować umysł dziecka do przyjęcia właściwych, ścisłych wiadomości i praw nauk przyrodniczych. Odsyłamy więc ciekawych do studjów specjalnych *).

Po nauce o rzeczach następuje właściwa nauka o kraju rodzinnym, której pierwszem zadaniem, jest rozszerzenie zakresu pojmowania dziecinnego z otoczenia najbliższego na otoczenie dalsze. Od zbiorów naturalnych, które dziecko może poznawać niemal bezpośrednio, przechodzimy do całości społecznej, ogarniającej je w sobie. W ten sposób nauka o kraju rodzinnym, jest z jednej strony nauką przyrody: przedstawia ona naturalne ugrupowanie trzech państw przyrody na terytorjum ojczystem. Z drugiej strony rozwija ona w dalszym ciągu naukę o ludziach.

Opierając się bowiem na pojęciu rodziny i stosunkach najbliższego otoczenia charakteryzuje najpierw rozmaite grupy plemienne zamieszkujące kraj; dalej, poczynając od wsi, miasta i okolic, zaznajamia z zasadniczemi związkami społeczno-towarzyskiemi, oraz urządzeniami administracyjnemi (gmina, samorząd miejski); wreszcie, wychodząc ciągle ze znajomości otoczenia, rozwija obraz naturalnych funkcji społecznych (przemysł, handel, rolnictwo, komunikacja, rząd, sadownictwo, oświata, wojsko). Całość, powstająca w ten sposób, nigdy nie wybiega po za sferę pojęć dziecinnych, ponieważ pierwiastki jej tkwią w otoczeniu dziecka i są przez nie bezpośrednio poznawane: Polak, Żyd, Rosjanin, sąsiad, więzienie, fabryka, folwark, kolej, urzędnik, żołnierz, szkoła i t. d. Są to pierwotne zjawiska życia codziennego, które dziecko pomimo naszej woli wchłania w siebie i nadaje im pewien związek mniej lub więcej fałszywy.

Zadaniem więc nauki o kraju rodzinnym jest utrwalenie tych pojęć w ich typowej, zgodnej z rzeczywistością postaci, oraz utrwalenie między niemi związku na podobieństwo tego, jaki istnieje w samej całości, której są one pierwiastkami — w kraju rodzinnym.

Sam wykład treści nauki o kraju poucza nas już, że nie jest ona ani geografją polityczną czy fizyczną, ani historją, że, w ogóle nie podaje żadnej sztucznej systematyki zjawisk, o których mowa. Na systematykę naukową, oderwaną, w dziedzinie tej czekać muszą jeszcze dość długo nie tylko dzieci. Jedynem więc spoidłem czy zasadą, na której nauka o kraju ma być ugruntowaną — jest życie owej poznawanej przez się całości.

Doniosłość takiej pracy przygotowawczej okazuje się najwyraźniej w okresie, kiedy dziecko przechodzi do właściwej nauki geografji i historji. Ma ono wówczas do czynienia z sumarycznie przedstawionymi zjawiskami, faktami, których często nie rozumie; po nauce o kraju jednak wszystkie terminy geografji i historji przestają być dla niego niezrozumiałymi wyrazami, hieroglifami — lecz nabierają żywej treści, zrozumiałej i opartej na doświadczeniu doraźnem. W ten sposób umysł dziecka już może w historji obejmować jej istotę t. j. związek przyczynowy i następstwo zdarzeń, nie rozpraszając się w odcyfrowywaniu pojedyńczych pojęć i nazw. To samo w geografji — suche zazwyczaj nazwy i opisy stosunków ludnościowych, granicznych, administracyjnych i t. p., wyliczenie miast, gór i rzek — po przeprowadzeniu przedwstępnej nauki o kraju nabierają treści konkretnej i budzą w umyśle żywe zajęcie, bo są tylko dalszym systematycznym rozwojem pojęć, które dziecko zdążyło już przyswoić.

*) Patrz »Nauka o rzeczach« J. Wł. Dawida; por. układ książki dziecinnej p. t. »Snopek« art. i prace Dygasińskiego, Wernica, Nowickiego.

Geografja też i historja ojczysta stanowią istotnie naturalny ciąg dalszy całości zapoczątkowanej przez naukę o kraju. Łączy się, jak widzimy, ona z niemi, zarówno swą treścią ogólną jak i częstemi wycieczkami w sferę podań historycznych, opisów i uogólnieniem materjału życiowego. (C. d. n.)



URANIA.

(Instytut popularno-naukowy w Berlinie).

W mycie greckim groźna, niedostępna śmiertelnym oczom Afrodyta-Urania, zstępując w osłonie wdzięku jako Afrodyta-Pandemos, łagodna i zrozumiała dla ludu:

W promieniach glorji Oryonów,
Widzialnej tylko dla demonów
I duchów wyższych, gdy przestrzenie
Przebiega, siejąc w nich zniszczenie,
Wspaniałej w grozie swej Uranji
Nie zniósłby żaden ziemski widz;
Lecz gdy z słonecznych zejdzie tronów
Niszczące bóstwo i ognistą
Koronę złoży, by wieczystą
Odsłonić piękność młodych lic —
W przepasce wdzięku óczz nie rani;
Aby ją dziecko zrozumiało,
Dziecięciem staje się na czas....

Takiem dziecięciem, odsłaniającem w formie prawie zabawy w naocznem, dla wszystkich zrozumiałem doświadczeniu zakątek tego świata wiedzy, który, najeżony symbolami i pojęciami abstrakcyjnemi, ukryty za formułami matematyki lub chemji, przemawia tylko do umysłu niewielu wybranych, taką »Pandemos« jest Urania berlińska.

Urania urzeczywistnia pozornie fantastyczną i paradoksalną myśl — umożliwia każdemu szereg doświadczeń i spostrzeżeń naukowych bez znajomości bliższej przyrządów, bez szkody dla tych ostatnich i prawie bez żadnych kosztów. Jest to kolosalna instytucja dla popularyzacji wiedzy przyrodniczej, a tembardziej zasługująca na uwagę, że nie powstała wskutkiem inicjatywy państwowej ani ofiary filantropów. Półmiljonowy kapitał, włożony w nią, zebrany został drogą sprzedaży akcji, jak w każdem przemysłowem przedsięwzięciu,

Gmach Uranji mieści się na *Invalidenstrasse*, gdzie znajdują się i inne muzea przyrodnicze, tuż obok *Lehrterbahnhoff*. Wstęp do niej kosztuje 50 fenigów.

Trzy główne części składają się na tę instytucję: teatr naukowy, sala fizyczna i obserwatorjum astronomiczne.

Gdy zwiedziłem Uranię po raz pierwszy, było już za późno na teatr (który trwa od 7. do 9. wieczorem), poszedłem więc wprost do sali fizycznej. Nazwa ta nie jest dość ścisła: oprócz przyrządów, mających związek z fizyką i niektórych stojących na pograniczu fizyk i chemji, znajdują się tu rzeczy, należące do wszystkich gałęzi przyrodoznawstwa, o ile mogą być przedmiotem łatwego doświadczenia lub demonstracji. Widzimy tu np. hodowle wodne roślin, t. j. roślinki, wyrastające z nasienia w wodzie, zawierającej tylko same rozpuszczone sole mineralne (t. zw. ciecze pożywne), okazujące, że roślina nie potrzebuje korzystać z substancji organicznych gruntu; szereg preparatów mikroskopowych, należących do zoologji i botaniki, modele zwierząt morskich, anatomiczne i t. d. Te działy jeszcze nie są wyspecjalizowane, nie została jeszcze wynaleziona forma demonstracji, któraby wykraczała po za szranki biernego spostrzegania ze strony widza.

Przeciwnie, dla fizycznych rzeczy zadanie to zostało rozwiązane w sposób doskonały. Oryginalność i znaczenie Uranji polega na tem, że nie jest ona prostem muzeum przyrządów fizycznych, lecz salą doświadczalną, w której każdy przychodzień eksperymentuje, a obok tego i oryginalną salą wykładową — bo taką rolę pełni teatr, o którym powiem za chwilę.

Już pierwsze wrażenie przy wejściu na salę fizyczną, jest wrażeniem ruchu i życia. Słychać tu szum kręcących się kół, trzask iskier elektrycznych, widać połyskujące światło...

Oto na pierwszym planie stoi duża maszyna elektro-magnetyczna; jakiś gruby jegomość, sapiąc, kręci jej ogromne koło, a dwie panienki przyglądają się, jak pod wpływem wytworzonego prądu rozświetla się mała lampka żarowa i jednocześnie wprawia się w ruch niewielki motor dynamo-elektryczny.

Doskonałe doświadczenie dla początkujących, wykazujące przemianę energji: ruch koła zamachowego, wywołany siłą mięśni kręcącego, przetwarza się w elektryczność w maszynie magneto-elektrycznej, ta daje ciepło i światło w lampce żarowej, aby ponownie zamienić się w ruch w motorze; a towarzyszący wszystkiemu syk i trzask służą za najlepszy dowód, że i dźwięk może powstać z tegoż źródła.

Na każdym przyrządzie wisi kartka, na której wypisana jest w kilku wierszach teorja doświadczenia, jakie tu ma nastąpić, a dalej krótka wskazówka, jak używać przyrządu: wskazówka ta jest zawsze bardzo łatwa do wykonania: tu trzeba nacisnąć guzik, tam przestawić komulator, ówdzie poruszyć korbę lub pokręcić kołem. Gdzieniegdzie — gdzie jest widoczniejsza pokusa dla rąk ciekawego widza, stoi ostrzeżenie: — nie dotykać tego! Dzięki tym wskazówkom i pewnemu wychowaniu publiczności, cała Urania obsługiwana jest (z wyjątkiem teatru) przez dwóch ludzi,

z których jeden przebywa na sali fizycznej, drugi w obserwatorjum.

Napatrzywszy się dowoli na przemiany energji, przechodzę do ciągnącego się wzdłuż sali stołu: tu mieści się szereg przyrządów z dziedziny elektryczności. Naciskam guzik i widzę, jak miękkie żelazo, namagnesowane przebiegającym po drucie prądem elektrycznym przyciąga kotwicę, która odpada pod wpływem sprężyny, skoro tylko przerwę prąd. Dalej stoi przyrząd do rozkładu wody, w którym za pociśnięciem guzika zaczynają wydzielać się na dwóch biegunach platynowych pęcherzyki tlenu i wodoru, zbierające się w dwóch zawieszonych rurkach. Tu znowu igły magnesowe, pokazujące prawo Oerstedt'a, solenoidy, łańcuszek z ogniw platynowych i srebrnych, rozżarzający się pod wpływem prądu i t. d. Bardzo dowcipny przyrząd wykazuje, że zwoje drutu, po którym przebiega prąd elektryczny, przyciągają się nawzajem jak magnesy: jest to wisząca sprężynka wężykowata z drutu miedzianego; jeden koniec połączony z biegunem elektrycznym, drugi zakończony platynowem ostrzem zanurza się w rtęci, zamykając prąd: gdy przepuszczamy prąd, sprężynka kurczy się od przyciągania wzajemnego jej zwojów, wskutku czego ostrze platynowe wychodzi z rtęci i prąd przerywa się, co uwidacznia ukazująca się iskra.

Po drugiej stronie — szereg przyrządów optycznych: są tu spektroskopy, polaryskopy, szpat islandzki i rozmaite z nim doświadczenia: widmo słońca w dzień lub lampy gazowej wieczorem: dalej w ciemniejszym kącie rurki Geisslera, efektowne zjawiska fosforescencji pod wpływem prądu; widma gazów jak: tlen, wodor, azot w rurkach Geisslera i nadzwyczaj dowcipnie urządzony szereg spektroskopów, dla pokazania widm metalów: drucik platynowy zanurzony jest w roztworze metalu; gdy spostrzegacz poruszy dźwignię, drucik staje naprzeciw szpary spektroskopu, a jednocześnie zapala się o niewielki, dotychczas palący się płomyczek lampa gazowa.

Dalej parę stołów okrągłych, obstawionych mikroskopami; każdy jest ustawiony nad preparatem, którego rysunek mamy naszkicowany na leżącej obok tabliczce papierowej z odpowiedniemi wyjaśnieniami. Są tu obok rozmaitych przedmiotów z botaniki i zoologji, także mikro fotogramy depesz dla poczty gołębiej.

Dalej stół do przyrządów pneumatycznych: półkule magdeburskie, baroskop, pęcherz napełniony gazem pod kloszem, wszystko to wprawia się w czynność przy pomocy niewidzialnej machiny pneumatycznej wodnej, za otwarciem odpowiednich kranów.

W ten sposób urządzone są inne przyrządy — wszystko tak, aby widz z łatwością mógł eksperymentować. Sala ta, jak już zauważyłem, nie jest ani doskonale usystematyzowana, ani też kompletna. Wiele rzeczy dałoby się dodać. Ale już to, co teraz znajduje przychodzący, stanowi bardzo wiele. Kto widział raz te doświadczenia, nieprędko ich zapomni, a niejednego zachęcą one do czytania odpowiednich rozdziałów.

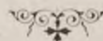
Dok. n.



W sprawie »Pamiętnika Zjazdu literatów«.

Na zarzuty p. Dr. Baudouina de Courtenay, uczynione w przedostatnim numerze »Tygodnia« radakcji »Pamiętnika Zjazdu literatów i dziennikarzy polskich« z powodu kilku omyłek druku w referacie, podpisanym przez Dr. Baudouina de Courtenay, Dr. Antoniego Kalinę, Dr. A. Brücknera, Dr. J. Karłowicza i Dr. A. A. Kryńskiego, odpowiadam na razie, że wszystkie trzy korekty tego referatu, prowadził jeden z podpisanych na nim autorów: Dr. A. Kalina, który dał drukarni aprobatę trzeciej korekty i przyjął na siebie za nią całą odpowiedzialność.

Dr. Henryk Biegeleisen.



Przegląd pism.

»Biblioteka Warszawska«. — Lipiec. — 1894.

W dokończeniu swego studjum »O początkach teatru« prof. Brückner, konstatując zawisłość rozwoju literackiego u Czechów, Kroatów i Polaków od Zachodu, twierdzi, iż zawisłość ta uwydatnia się jaskrawo i na polu dramatu, chociaż, z powodu odrębnych stosunków, teatr u nich nie dostąpił nigdy takiego znaczenia, jak na Zachodzie. Dlatego też, zdaniem autora, nie wytworzył on u nich żadnych rysów oryginalnych. Nawet igrzyska ludowe, dramatyczne i niedramatyczne, tańce, obrzędy i inne, w których się dopatrują zwykle oryginalności, pochodzenia słowiańskiego, reminiscencji pogańskich nawet, są najczęściej pochodzenia obcego, zapożyczone, późne.

P. Henryk Piątkowski w pięknym szkicu kreśli działalność Maksymiliana Gierymskiego i, subtelnie analizując jego utwory, widzi w nich przedewszystkiem: zamiłowanie szczere natury, szczere jej odtwarzanie, oswobodzenie jednostki z pod jarzma szematu i rutyny..

Kronikarz galicyjski całą swą lipcową kronikę poświęcił wystawie, a przedewszystkiem rolnictwu.

Artykuł K. R. Żywickiego p. t. »W Białymgrodzie« zawiera dokończenie luźnych szkiców z wystawy w Chicago.

P. Konopnicka umieściła w omawianym zeszycie dalszy ciąg swego cyklu »Italia«, p. Bloch prowadzi dalej rzecz swą »O przyszłej wojnie«, a Sienkiewicz o »Rodzinie Połanieckich«.

p.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.